
Ja, Pan Zdzisio

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (64), 5-6

2000

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

o 14, ostatni o 22. Kto został w domu, mógł posłuchać w radio o 19 „Kukułki Wileńskiej”, a potem okolicznościowego felietonu o Antku z Mokotowa i Cesarzewiczu Konstantym.

Niedzielne uroczystości rocznicowe zakończyła akademie w Teatrze na Pohulance oraz przedstawienie Nocy listopadowej Wyspiańskiego, przygotowane przez dyrektora teatru Aleksandra Zelwerowicza i profesora Ferdynanda Ruszczyca. Spektakl, na który tego dnia można się było dostać wyłącznie za zaproszeniami, ciągnął się do 3 rano i nie wszyscy widzowie dotrwali do finału.

M.Z.

Ja, Pan Zdzisio

I oto niespodziewanie (jakże nieobliczalne jest życie) najmłodszy z redaktorów „Tekstów Drugich” obchodzi siedemdziesiąte urodziny. Najbardziej przekorny z przekornych, najosobliwszy z osobliwych, najmłodszy z młodych, młodszy nawet od samego siebie – Zdzisław Łapiński, czyli Pan Zdzisio.

Nie zdradzę tajemnicy redakcyjnej ujawniając, że jest młodszy od samych „Tekstów Drugich”, mimo że niektórzy jeszcze pamiętają Jego udział w niemowłęcym okresie „Tekstów” (pierwszych). Ach, wspomnienia, wspomnienia! Pamiętam go z tych lat, gdy przeszedł był wówczas Rubikon strukturalizmu, minął kamień milowy psychologii i tylko z metryki, a więc z pozorów, wyglądał na człowieka dojrzałego. A jednak (jak bardzo trzeba uważać) nie był nim celowo, będąc równocześnie zamulowanym graczem w brydża, pracownikiem żadnym przygód, smakoszem dań i trunków wykwinionych, który tylko na pozór zatatwiał drobne sprawy naukowe i miewał terminy.

Jakaż była wtedy jego sytuacja?

Chodził po kawiarniach i po barach, spotykał się z ludźmi zamieniając słowa, czasem nawet myśli, ale epoka lat siedemdziesiątych była nadal nie wyjaśniona. A jednak już wtedy, na przelomie, był sobą, a nawet więcej, osobą – Łapińskim, choć rówieśnicy, ci, którzy już się pożenili oraz pozajmowali określone stanowiska, nie tyle wobec życia, ile po rozmaitych urzędach państwowych, odnosili się do niego z nieufnością.

Wstęp

Koledzy i koleżanki, ciotki, siostry, liczne, prawdziwe i doczepione, przylatane, ale szczerze kochające, już od dawna usiłowały wpływać na niego, aby się ustabilizował jako ktoś, albowiem młodość i nieokreśloność jego była im niezwykle przykra, nie wiedziały, jak rozmawiać z nim nie wiedząc, kim jest. – „Zdzisiu” – mówiły pomiędzy jednym a drugim artykułem jego – „Zdzisiu, czas najwyższy, dziecko drogie”. I słyszałem, jak niejedna szeptała do drugiej, że jest niewyrobiony towarzysko i życiowo, i zamęczały się próżnią, jaką tworzył im w głowie. W istocie, stan ten nie mógł trwać wiecznie. Z chaosu, z mętnych rozlewisk, ze trzciny, w których brzmiały chrząszcze i chrabąszcze, przeniósł się od razu pomiędzy formy klarowne, skryształizowane i zaczął rajcować z nimi!

Aby się w miarę możliwości wyjaśnić, przystąpił do napisania książki. Pióro go nie zdradziło. Pomieścił w tekście esencję młodości, same treści niedojrzałe i sfermentowane, jedynie stylem, głosem, tonem chłodnym i opanowanym izolując je na papierze. Dlaczego, jak gdyby na przekór własnym zamierzeniom, książce dał tytuł Norwid (1971)? Próżno przyjaciele doradzali mu, aby nie dawał takiego tytułu i strzegł się w ogóle najdrobniejszej aluzji do norwidologii. – „Nie rób tego – mówili – niedojrzałość norwidologii to drastyczne pojęcie, jeśli sam siebie uznasz norwidologiem niedojrzałym, któż cię norwidologiem dojrzałym uzna?”. Jego położenie było tu o tyle bardziej trudne i drażliwe, o ile książka jego była trudniejsza, drażliwsza od konwencjonalnie dojrzałej lektury.

I tak debiutował w epoce, która co pięć minut zdobywała się na nowe hasła i grymasy i konwulsyjnie wykrzykiwała swe oblicze, jak tylko mogła – w epoce przejściowej.

Sam więc niepostrzeżenie przechodził zaraz potem od Norwida do Przybosia, od Przybosia do Miłosza, od Miłosza do Gombrowicza, od Gombrowicza do Białoszewskiego, od metafizyki do polityki (i z powrotem), od romantyzmu do oświecenia, od socrealizmu do modernizmu, od Nowej Krytyki do młodości krytycznej – przy której pozostał, tak jak stał, bo jej nigdy nie opuszczał. Pisał o malujących, obmalowywał piszących, portretował i negliżował pisarzy, był niesforny i strofujący, a czynił to wszystko z nieprześcignionym smakiem do form małych a problemów wielkich. Jest tajemnicą poliszynela, że nikt jak on nie zna tajemnic „Szynela” Gogola i innych wielkich pisarzy rosyjskich. Nikt jednak nie pamięta, że już dawno, dawno temu (jakże wszystko trzeba zawsze przewidywać!) uwiecznił go Gombrowicz zapisując niesmiertelne słowa: „Oto kąciki ust – oto podbródek – ucho, które ongi naderwał mi Zdzis”.

W.B.

Łapiński – badacz Gombrowicza

W numerze 9 „Twórczości” z roku 1966 ukazał się artykuł Zdzisława Łapińskiego „Ślub w kościele ludzkim” (O kategoriach interakcyjnych u Gombrowicza). Nie pomyłę się chyba mówiąc, że było to pierwsze na temat Gombrowicza studium akademickie, naukowe, i choć chyba napisane z eseistycznym zacięciem, to przecie po-